

Łosiewicz, Zofia

Dom na uboczu

Przegląd Pruszkowski nr 1, 29-40

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Dom na uboczu

Dom, o którym będzie tu mowa, jest usytuowany nader korzystnie, gdyż stojąc na uboczu, bliski jest centrum Żbikowa, owej najstarszej lecz zaniedbanej i zwolna rozpadającej się w gruzy dzielnicy Pruszkowa. Budynek ten liczy już blisko dziewięćdziesiąt lat, lecz trzyma się krzepko, dyskretnie odsunięty od ulicy 3 Maja i Pięknej, na których skrzyżowaniu stoi, otoczony niewielkim ogrodem. Wszystkie te okoliczności sprawiają, że dom ów nie rzuca się w oczy i dzięki temu w jego gościnnych ścianach odbywały się w czasie II wojny sprawy ważne acz ryzykowne, mimo to jego azylanci uniknęli represji ze strony Niemców. Można powiedzieć, iż nikomu, kto znalazł tu schronienie, nie spadł włos z głowy.

Zanim jednak rozpocznę relację o dziejach bohaterskich domu przy ulicy Pięknej 2, pragnę poświęcić nieco miejsca jego historii, jak również kolejom losu jego stałych mieszkańców.

Dom zbudował w 1904 roku pan Adam Dąbrowski. Budynek, z punktu widzenia architektury jest „bliźniakiem” stykającym się szczytową ścianą ze swym architektonicznym sobowtorem, ognisł własnością państwa Lewandowskich. Na parterze mieszczą się cztery izby położone po dwóch przeciwnych stronach wąskiej sieni, tyleż izb zawiera pierwsze piętro. Z przedpokoju na pierwszym piętrze prowadzą wąskie drzwi na ciemnawy stryszek, nazywany przez rodzinę „przygórką”. Prócz tego z przedpokoju było wejście do jeszcze jednego schowka tuż pod dachem, lecz wiodły doń miniaturowe drzwi, usytuowane na wysokości około dwóch metrów nad podłogą tak, że wejść tam można było jedynie po drabinie. Drzwi te nie stanowiły bynajmniej elementu dekoracyjnego, toteż wisiał na nich duży obraz świętego Antoniego. Tenże stryszek „pod świętym Antonim” miał spełniać za lat czterdzieści niepoślednią rolę. Nie uprzedzajmy jednak faktów i wróćmy do pierwszych mieszkańców domu.

W wybudowanym przez pana Adama Dąbrowskiego rodzinnym gnieździe zamieszkała jego rodzina: małżonka Stanisława z Matusików, a także czwórka dzieci: Władysław, Kazimierz, Maria i Stanisław. Od chwili zamieszkania rodziny w nowo wybudowanym domu minęło zaledwie osiem lat, gdy w 1912 roku zmarła pani Stanisława. Najmłodsze z jej dzieci - Staś - miało zaledwie pięć lat.

Nietrudno wyobrazić sobie, jak ogromną stratę ponieśli i dzieci i ich ojciec. Szczególnie boleśnie odczuła śmierć matki Maria, dziewczynka

wtedy kilkuletnia. Tęsknota i pustka w domu kazała małej biegać niemal codziennie na odległy cmentarz żbikowski i spędzać długie chwile przy matczynym grobie. Fakt ten, jak się niebawem okazało, miał zmienić życie rodziny Dąbrowskich. Nastąpił bowiem epizod, jaki najczęściej spotyka się w sentymentalnych powieściach lub na scenie.

Otóż na cmentarz żbikowski, równie często jak Marysia Dąbrowska, przychodziła młoda pani w czerni na grób swego męża, znajdujący się w bardzo bliskim sąsiedztwie grobu pani Dąbrowskiej. Dziewczynka, odwiedzająca sąsiednią mogiłę, zwróciła na siebie uwagę pani w żałobie. Zagadnęła małą i tak zaczęła się znajomość. Pani Zaremba i Marysia Dąbrowska bardzo szybko przypadły sobie do serca, gdyż dziewczynka, spragniona matczynego ciepła, wyczuła intuicyjnie wielką dobroć i gorące serce nowo poznanej pani.

Być może, sprawiła to ingerencja pani Stanisławy u najwyższych władz w zaświatach, że Maria z Hankiszów primo voto Zaremba, wzruszona dołą czworga sierot, zgodziła się na zaaranżowane przez Marysię spotkanie z jej owdowiłym ojcem i niebawem połączyła się z nim węzłem małżeńskim. Zdecydowała się na ten krok, jak sama potem przyznawała, ze względu na dzieci swego męża. Była dla nich odtąd troskliwą, kochającą i oddaną matką. Dzieci zaś odpłacały jej równie szczerą miłością, otaczały szacunkiem i przywiązaniem, może nawet trochę większym niż rodzzonego ojca, który był człowiekiem prawym i porządnym - lecz porywczym, co sprawiało, że najpewniejszą ostoją ich dzieciństwa była matka. Fakt, że była to matka przybrana coraz bardziej zacierał się w świadomości rodziny.

Nadszedł rok 1914. Wybuch wojny - jak to zawsze bywa - splątał i pokrzyżował ludzkie losy. Pan Adam Dąbrowski, jako pracownik warsztatów kolejowych w Pruszkowie, został wraz z całą załogą ewakuowany w głąb Rosji. Pani Maria została sama wraz z czwórką dzieci i problemem utrzymania ich z nader skąpych zasobów grosza, jakie zostawił jej małżonek. Dokazywać musiała cudów zapobiegliwości, aby zapewnić im skromne wyżywienie, z pewnością zbyt jałowe i skąpe jak na apetyty dorastającej młodzieży. W podobnej sytuacji znalazła się zresztą większość rodzin pruszkowskich.

Odmiana losu nadeszła razem z odzyskaniem przez Polskę niepodległości. W 1918 roku pan Adam wrócił do domu, podjął pracę w warsztatach kolejowych i otworzył na własnej posesji skład węgla i drewna opałowego. Nie był to interes na wielką skalę, ale uzyskiwany dochód wystarczał na dostatnie życie i kształcenie dzieci.

Przyszedł na świat pierwszy syn Adama i Marii Dąbrowskich. Niestety, chłopiec zmarł w niemowlęctwie. Marzenie pani Marii o własnym dziecku

spełnił dopiero drugi syn - Jan, zwany przez bliższych znajomych „Wujaszko”.

Czas płynął, młodzi Dąbrowscy dorastali. Synowie ożenili się i założyli własne rodziny. Wyszła za mąż Maria. Mężem jej był Paweł Dumkiewicz, legionista, oficer II Brygady. Prócz urody odznaczał się ogromnym urokiem osobistym. Synowie opuszczali więc kolejno dom przy ulicy Pięknej. Pod jego dachem pozostali państwo Dąbrowscy z najmłodszym Jankiem oraz pani Maria z mężem i córką Ireną.

Koniec lat dwudziestych i początek trzydziestych zapisał się w historii rodziny trzema bolesnymi stratami. W 1929 roku zmarł Władysław Dąbrowski, w rok później jego ojciec - Adam. W roku 1932 zmarł przedwcześnie Paweł Dumkiewicz.

Pani Maria musiała więc odtąd sama zapewnić utrzymanie córce i sobie. Dostała pracę w Banku Gospodarstwa Krajowego i niebawem okazało się, że ta kobieta łagodna, dystygowana, robiąca wrażenie nieśmiałej - jest znakomitym, energicznym, umiejącym sobie świetnie zorganizować czynności służbowe, pracownikiem. Doceniono to i nastąpiły podwyżki, awanse, wyrazy uznania. Życie w domu przy ulicy Pięknej płynąć zaczęło spokojnie, dostatnio i wygodnie. Irena i „Wujaszko” Janek wyjeżdżali pod opieką babci Dąbrowskiej dwa razy w roku w góry. Irena zaczęła naukę w prywatnym gimnazjum Wandy z Posseltów Szachtmajerowej, najbardziej renomowanej żeńskiej szkoły średniej przedwojennej Warszawy, jako że kształciły się tam obie córki marszałka Piłsudskiego, hrabianki Branickie i znaczna część żeńskiej progenitury stołecznych dygnitarzy.

Uładzony, z niemałym trudem zorganizowany świat mieszkańców domu przy ulicy Pięknej zburzył, podobnie jak losy wszystkich Polaków, wybuch II wojny. W tym też momencie rodzinne gniazdo Dąbrowskich rozpoczęło nowy rozdział swej historii.

Zaczął się od tego, że w domu przy ulicy Pięknej schronili się dwaj znajomi pani Marii. Byli to oficerowie uczestniczący w kampanii 1939 roku, którzy pragnęli uniknąć obozu jenieckiego. Wtedy to stryszek „pod świętym Antonim” awansował do rangi domowego skarbu, tajemnego azylu dla potrzebujących. Ustalono bowiem, że gdyby - nie daj Boże - zjawili się Niemcy, obaj panowie wskoczą na owe zakamuflowane poddasze, powiesi się napowrót obraz i niech Szkopy szukają, proszę bardzo!

Nastaly ponure lata okupacji. Szkoły średnie, które cichaczem uruchomiono jesienią 1939 roku, zostały przez władze okupacyjne zamknięte. Wolno było otworzyć jedynie szkoły zawodowe. Według dalekosiężnych planów germańskich „nadludzi” kraje okupowane miały dostarczać III Rzeszy jedynie siły roboczej, a właściwie niewolników. Naród polski posiadał jednak wyrobioną w ciągu wieków swej jakże trudnej, krwawej i popłątanej

historii, jedną niezaprzeczalną cechą, która w trudnych momentach, na różnych zakrętach dziejów jest zbawcza, natomiast w czasach wolności narodu jest przysłowiową kulą u nogi prawowitych rządów. Jest nią idealnie opanowana, doprowadzona do absolutnej perfekcji umiejętność obchodzenia bokiem wszelkich przepisów prawa. Tę narodową cechę wykorzystano z dużym powodzeniem, organizując średnie szkoły w okupowanej Polsce. Pruszków może służyć w tym zakresie pięknym przykładem. Ponieważ jedyne wówczas Gimnazjum i Liceum im. Tomasza Zana Niemcy nie tylko zamknęli, lecz także zajęli budynek tej szkoły, dewastując urządzenia i bibliotekę, profesor Bohdan Zieliński, wykładający u Zana przed wojną geografii, zorganizował chytrze jej namiastkę. Owa placówka oświaty, formalnie zgodna z zarządzeniem i intencją władz okupacyjnych, nosiła przydługą i dość zawiłą nazwę: Kursy Przygotowawcze do Szkół Zawodowych II Stopnia. Rzecz jasna, że nie było tu mowy o żadnych przygotowaniach do jakiegokolwiek zawodu. Przerabiało się tam program III i IV klasy gimnazjalnej. Jedyne novum w stosunku do czasów przedwojennych stanowił zakaz noszenia do szkoły podręczników. Nie trudno zgadnąć, że co najmniej połowa każdej z dwóch klas taszczyła podręczniki do szkoły, bo to i podpowiedzieć koledze łatwiej i w razie klasówki jest gdzie zerknąć. Lokal wspomnianych Kursów mieścił się przy ulicy Narutowica. Było to kilkupokojowe mieszkanie, do którego wstawiono ławki, ocalałe przy rujnowaniu Gimnazjum Zana, na ścianach zawieszono tablice pochodzące z tego samego źródła i rozpoczęła się nauka. Godziny przedpołudniowe spędzali tu uczniowie Zawodowej Szkoły Handlowej, gdzie zamiast przewidzianej programem „korespondencji”, wykładano literaturę polską. Po południu zasiadali w tych samych ławach uczniowie wspomnianych Kursów Przygotowawczych. Byli to, w większości wychowankowie gimnazjum im. Tomasza Zana, ale nie tylko, bo zdarzali się również uczniowie innych gimnazjów, często z odległych miast, przybyli do Pruszkowa na skutek zmiennych kolei losów wojennych.

Kursy Przygotowawcze nie były jedyną średnią szkołą w Pruszkowie. W dzielnicy Żbików, w pałacyku wynajętym od doktora Zielińskiego (nie mylić z prof. Zielińskim), zakwaterowały się Siostry Niepokalanki. Siostry uruchomiły tu szkołę kroju i szycia, która to placówka bardzo niewiele miała wspólnego z kunsztem krawieckim, bowiem dzielne siostry przygotowywały po prostu dziewczęta do matury.

Równolegle do opisanych źródeł oświaty istniejących legalnie, acz działających wbrew zakazom, niezmordowany profesor Zieliński zorganizował tajne komplety gimnazjalne i licealne.

Wśród uczniów Kursu Przygotowawczego znalazła się także Irena Dumkiewicz, mieszkająca nadal wraz z matką, babcią Dąbrowską i Jankiem

Dąbrowskim w domu przy ulicy Pięknej 2. Dom ten leżał mniej więcej w połowie drogi między siedzibą Kursów a centrum zarówno dzielnicy Pruszków jak i Żbików. Irena była powszechnie lubiana, należała do tak zwanych „równych” dziewczyn, jej mieszkanie było obszerne, a dom gościnny. Rychło więc „rodowa siedziba” Dąbrowskich stała się czymś w rodzaju klubu młodzieżowego. Spotykaliśmy się tutaj i przed lekcjami i po lekcjach. Irena wyciągała stary, poczziwy patefon, uruchamiany za pomocą ręcznej korbki, płyty z przedwojennymi szlagierami („Jesienne róże”, „Ach, jak oni się kochają”, „Tango meksykańskie” i inne sentymentalne kawałki), zdejmowaliśmy buty, żeby nie rysować podłogi, jak również nie hałasować nad głową babci Dąbrowskiej, mieszkającej na parterze i zaczynała się starożytna kameralna dyskoteka. Była to jedyna chyba forma rozrywki możliwej w tamtych czasach. Nie chodziło się bowiem do kina („Same świny siedzą w kinie” - pisali na murach nasi koledzy z Szarych Szeregów), do teatru tym bardziej. Chodziło się natomiast od czasu do czasu na koncerty organizowane w prywatnych mieszkaniach tylko dla wtajemniczonych. Dochody z tych imprez przeznaczone były zawsze na cele społeczne: paczki dla więźniów Pawiaka lub dla jeńców oflagów. W domu przy ulicy Pięknej 2 odbywały się również takie koncerty. Były to zazwyczaj recitale jednego artysty, przybywającego nierzadko z Warszawy. Do tych ostatnich należał Ryszard Gruszczyński, który najczęściej bodaj koncertował w Pruszkowie. W domu Dąbrowskich śpiewała także kiedyś Nacia Gruszczyńska, kuzynka Ryszarda. Nawiasem mówiąc, rodzina Gruszczyńskich była szczerze obdarowywana przez los talentami muzycznymi. Mini recitale fortepianowe, wykonywane na rodzinnym pianinie dla znacznie szczuplejszego grona słuchaczy, bywały dziełem bądź Ireny, która uczęszczała przed wojną do pruszkowskiej Szkoły Muzycznej, ciesząc się opinią bardzo zdolnej uczennicy, bądź przez Janka, „Wujaszka” Dąbrowskiego. „Wujaszko” nie miał przygotowania teoretycznego, ale miał świetny słuch i grał przeróżne kawałki do tańca i do słuchania z niemałą wirtuozerią. Mimo więc okupacyjnego koszmaru w domu przy ulicy Pięknej bywało wesoło, swojsko, swobodnie i przyjacielsko. Nic dziwnego więc, że młodzież ciągnęła doń jak do przysłówiowego miodu. Ale to była zewnętrzna powłoka bytowania ówczesnej młodzieży. Wszyscy bowiem ci weseli chłopcy i roześmiane dziewczyny żyli jeszcze w innej zgoła płaszczyźnie, o której z zasady nie mówiło się nigdy w szerszym gronie, nawet do ludzi absolutnie godnych zaufania. Każdy bowiem z nas tkwił w pracy konspiracyjnej. Chłopcy przeważnie w AK lub Szarych Szeregach, podobnie dziewczyny. Pierwszą zaś zasadą konspiracji było wiedzieć jak najmniej o innych i z nikim niepotrzebnie nie rozprawiać o sobie. Nikt więc

o nic nikogo nie pytał, choć każdy z nas zamknął gdzieś na dnie duszy swoją tajemnicę i wiedział, że wszyscy w jego otoczeniu uczynili to samo.

Mimo nie chwalenia się swoją przynależnością do podziemia Polski walczącej, każdy z nas niejako automatycznie patrzył na otaczającą go rzeczywistość pod kątem przydatności dla celów konspiracji. Dotyczyło to zwłaszcza chłopaków, z których większość kończyła podchorążówkę, uczyła się zasad walki, obchodzenia się z bronią i innych umiejętności przydatnych w żołnierskim rzemiośle. Wyczulony był na te sprawy zwłaszcza jeden z naszego grona - Janusz Osiecki - pseudonim „Parys” - były kadet. Dla Janusza wojsko było najszczytniejszym powołaniem, celem istnienia i jedynym sposobem na pełnię życia. Januszek szybko ocenił walory „domu na uboczu”, jak również odkrył „tajemnicę świętego Antoniego”, czyli zakamuflowany stryszek. Zarówno babcia Dąbrowska, jak Pani Maria Dumkiewicz, były kobietami o mężnych sercach i szczerymi patriotkami. Nie trzeba więc było długich przekonywań, aby zgodziły się na wykorzystanie skrytki dla potrzeb zgola nie pokojowych.

Święty Antoni łagodnie uśmiechnięty na swoim obrazie, został przymuszony do całkiem innej roli, niż było to jego powołaniem. Wiadomo przecież, że jest to patron wspomagający szukających i wielce pomocny w odnajdywaniu różnych przedmiotów. Jednakże w domu przy ulicy Pięknej świętemu narzucono rolę strzeżenia rzeczy powierzonych tak, aby nie dały się odnaleźć przez niepowołanych poszukiwaczy. I święty stanął po naszej stronie, pilnie strzegąc powierzonych mu przedmiotów, a były to rzeczy wybitnie „trefne” na owe czasy: mapy sztabowe, broń, lornetki polowe, amunicja i inne wojskowe utensylia. Prócz tego także drewniane atrapy karabików, służące do celów szkoleniowych dla podchorążaków.

Skoro zaś przytulisko przy Pięknej znalazły ćwiczebne karabiny, niebawem doszłusowała do nich i podchorążówka. Chłopcy przychodzili po kilku i odbywali kolejno ćwiczenia pod okiem instruktorów. Działo się to przeważnie w parterowym mieszkaniu babci Dąbrowskiej. Kiedyś ćwiczyła musztrę grupa obdarzona wyjątkowym animuszem żołnierskim, gdyż przy komendzie „do nogi broń” czynili tak piekielny łomot, że mieszkańcy parteru z bliźniaczego domu przybiegli przerażeni do babci, w przekonaniu, że dom rozwała ktoś przy pomocy kowalskiego młota. Chłopaki musieli więc z jakimś zalem powściągnąć nieco swoje wojackie temperamenty.

Nadszedł rok 1942. Uczniowie Kursów Przygotowawczych z ulicy Narutowicza otrzymali świadectwa ich ukończenia. Oznaczało to, że uzyskali tak zwaną „małą maturę”, czyli ukończyli cztery klasy gimnazjum ogólnokształcącego. Pragnący się dalej uczyć zaczęli uczęszczać na tajne komplety licealne. W ich liczbie znalazła się również Irena. Komplety były przecież jednak nielegalne, a ich istnienie na terenie Pruszkowa było

tajemnicą poliszynela. Toteż nie można było mieć pewności, czy Niemcom nie strzeli do głowy pomysł „wygarnięcia” młodzieży z kompletów i wywiezienia na przymusowe roboty do Niemiec. Wszyscy więc kompletowicze musieli zabezpieczyć się przed taką ewentualnością. Kto miał „chody” w jakiejś instytucji, najlepiej w fabryce, postarał się o „lewe” świadectwo pracy. Inni musieli naprawdę podjąć pracę, bo tylko to chroniło (choć nie zawsze) przed wywózką. Irena, jak również kilka innych koleżanek z Kursów Przygotowawczych, w tej liczbie i pisząc te słowa - nie miałyśmy potrzebnych chodów i trzeba było zacząć pracę. Instytucją, która nas przyciągnęła, była Rejonowa Spółdzielnia Rolniczo Handlowa w Pruszkowie. Magazyny tejże Spółdzielni mieściły się w kilku punktach Pruszkowa, zaś biura przy ulicy Szopena 10. Pod ten właśnie adres trafiłyśmy obie z Ireną. Pracowałyśmy w księgowości, kierowanej przez panią Jadwigę Gniewecką. Na terenie pracy stanowiłyśmy nieodłączny duet, co często doprowadzało do złości naszą szefową, albowiem występowałyśmy zawsze solidarnie. Miewałyśmy też od czasu do czasu napady „małego rozumu” i chichotałyśmy niepostrzeżenie nie zawsze zresztą wiedząc, z czego. Biedna pani Jadwiga, cała w nerwach, zwracała się wówczas do nas per „pani Dumkiewicz” i „pani Łosiewicz”, podczas gdy w okresach pełnej harmonii byłyśmy Iruś i Zosią.

Obie chodziłyśmy także na tajne komplety licealne. Niestety, tu nasz nierozłączny tandem został rozdzielony, jako że Irena uczyła się niemieckiego, ja - francuskiego.

Z chwilą, gdy Irenka rozpoczęła naukę na kompletach, znaczna część lekcji odbywała się w domu przy ulicy Pięknej, dorzucając do wielorakich funkcji owej zacnej siedziby także działalność na rzecz oświaty.

Jednocześnie przybywało stałych mieszkańców. Stanisław Dąbrowski - porucznik rezerwy, był oficerem w sztabie AK Okręgu Tuchola. Działał tam bardzo aktywnie, organizował - między innymi - przyjmowanie zrzutów. Nadszedł jednak moment, kiedy jego osobą zaczęli się interesować Niemcy. Na szczęście został w porę ostrzeżony i wraz z żoną oraz kilkuletnim synkiem przybył do domu rodzinnego. Oczywiście zarówno pan Stanisław jak jego żona i syn mieli dokumenty na inne nazwisko.

W ślad za nimi ściągnęli na Piękną również pozostali członkowie sztabu AK okręgu tucholskiego. Byli to oficerowie wyższej rangi i przebywali tu stale w liczbie od trzech do pięciu osób. Niezależnie od tego przybywali do nich od czasu do czasu łącznicy, zjawiający się z meldunkami z odległych zazwyczaj okolic, których należało nakarmić i zapewnić im nocleg. Na barki pani Dumkiewicz spadł więc niemały ciężar, nie mówiąc już o odpowiedzialności. Poza pracą zawodową, gdyż pani Maria pracowała nadal w BGK i codziennie dojeżdżała do Warszawy, musiała gotować dla licznej

gromadki i mieć w spiżarni zapas jedzenia, gdyby zjawił się łącznik. Prócz tego spełniała rolę sekretarki sztabu, łączniczki, a w razie potrzeby także pielęgniarki. Aż dziw bierze, skąd ta wiotka, delikatnej kondycji kobieta czerpała siły na sprostanie tak poważnym i ciężkim obowiązkom.

Z tego okresu utkwił mi w pamięci zwłaszcza jeden wieczór. Zebrała się u Ireny nasza stała paczka: Jurek Ronisz (nazwany przeze mnie Izydorem), Jurek Albiński (Bandzio), Janusz Bagdach (Miśko) i ja (Zonia vel Sonia) oraz Irena i Janek Dąbrowski (Wujaszko). Mieliśmy trochę czasu do godziny policyjnej, więc wyciągnęliśmy pocziwą grajszafę i zaczęliśmy płaśać w takt jakiegoś tanga. Po jakimś czasie ktoś zapukał. Słyszeliśmy, że babcia Dąbrowska wprowadziła kogoś na górę, ale fakt ten nie wzbudził naszego zainteresowania. Upłynął jakiś czas i do mieszkania babci wszedł wysoki, młody chłopak w wojskowych butach.

- Jestem Selim - przedstawił się.

Przywitaliśmy się z nim i za chwilę tańczył z nami, rozmawiał, jak stary znajomy. Dopiero nazajutrz Irena opowiedziała mi, że był to łącznik (tego zresztą wszyscyśmy się domyślali), który przebył szmat drogi pieszo i idąc spać poprosił babcię o możliwość wymoczenia nóg. Miał je otarte w niektórych miejscach do krwi. I on miał siłę tańczyć! Czegóż to nie dokona młodość!

Nadszedł rok 1944. Przybliżał się coraz bardziej front wschodni, co Niemców na tyłach wprawiało w stan wzmożonej aktywności. Dla wielu żołnierzy podziemia przebywanie w domu rodzinnym stało się zbyt niebezpieczne. Do zagrożonych aresztowaniem należał, między innymi, Janusz Osiecki. Musiał zatem zmienić miejsce pobytu i uczynił to, przenosząc się do mieszkającego w Warszawie brata. Ale Januszek nie mógł żyć nie tylko bez jedzenia i powietrza, do pełnej egzystencji potrzebne mu było także wyposażenie wojskowe. Rola dostarczenia mu rzeczy zdeponowanych „pod świętym Antonim” przypadła Irenie. Pamiętam, jak włożyła do teczki „gnata” czyli spluwę, mapy sztabowe i inne utensylia wiadomego przeznaczenia. Do kieszonki kostiumu wsadziła kompas wojskowy, dla niepoznaki dodała chusteczkę o wystających na zewnątrz rogach i pojechała kolejką EKD do Warszawy tak bez troski, jakby udawała się po marchewkę na pobliski bazar. Widać jednak święty Antoni czuwał również z daleka, bo Iruchna dotarła szczęśliwie na miejsce przeznaczenia, a Janusz otrzymał swoje skarby w stanie nienaruszonym. Jako żołnierz z powołania i wykształcenia wyczuwał prawdopodobnie zbliżającą się chwilę wielkiej próby.

Przecucie nadchodzącego kataklizmu, choć o nieznanym jeszcze kształcie i nieprzeczuwanym rozmiarze, było zresztą udziałem wszystkich. Przeczutowane stało się rzeczywistością w momencie ogłoszenia w Warszawie godziny

„W”. Sam przebieg powstania warszawskiego na terenie Pruszkowa przekracza ramy niniejszego wspomnienia i będzie przedmiotem niejednego - jak sądzę - opracowania drukowanego na łamach naszego czasopisma. Wróćmy zatem do dziejów domu przy ulicy Pięknej.

Jak wspomniałam, okres poprzedzający wybuch powstania, jak również czas jego trwania, obfitował w rewizje po domach, węszenie niemieckich patroli. aresztowania i tym podobne represje. Fakt ten znalazł reperkusję także w opisywanym domu. Pierwszą osobą, która dołączyła do azylantów był zagrożony aresztowaniem podporucznik Edward Kadzikiewicz - pseudonim „Miłosz”, dowódca plutonu.

Zarówno Janek Dąbrowski jak Irena Dumkiewicz należeli do AK.

30 lipca 1944 roku, w niedzielę, Irena została wezwana do Warszawy, gdzie w mieszkaniu prywatnym przy ulicy Chmielnej był punkt zborny dla dziewczyn ze służby sanitarnej. Pojechała więc klejką WKD, żegnana przez płaczącą matkę, która - choć przerażona losem, jaki może przypaść w udziale jedynaczce - nie zatrzymywała jej.

Kiedy Irena dotarła pod wiadomy adres, okazało się, że sanitariuszek akowskich ze stolicy i okolic zjawilo się tak wiele, że zabrakło miejsca na przenocowanie ich. Postanowiono więc, że przybyłe z niedaleka, powrócą do domu na nocleg i będą czekać na ponowne wezwanie. Irena wróciła zatem do Pruszkowa, zostawiając numer telefonu do pracy, gdyż telefonu prywatnego rodzina wówczas jeszcze nie miała. Minęły dwa dni, 1 sierpnia ogłoszono w Warszawie godzinę „W”. Nikt jednak Ireny nie wezwał, wobec czego pozostała w Pruszkowie.

Wyszedł natomiast z domu Janek Dąbrowski. Jego matka była zrozpaczona, podobnie jak cała rodzina. Wszyscy truchleli na myśl o trudach, jakie związane są z życiem w partyzantce. Czy im podoła? Nie był okazem siły, w dodatku miał zawsze słabe serce. W domu przy Pięknej zapanowała niezwykła, przytłaczająca cisza. Każdy bał się odezwać w obawie, że niebaczным słowem sprowokuje nadejście jakiejś koszmarniej wiadomości. Szczęśliwym zrządzeniem losu nie trwało to długo. Janek, czyli Wuja-szko, wrócił po kilku dniach, zgodnie z rozkazem „Pawła”, nakazującym żołnierzom z lasu Sękocińskiego powrót do domu i konspiracji.

Sierpniowe dni 1944 roku były słoneczne, jasne, a noce wygwieżdzone. Tyle, że gwiazdy ginęły na bezchmurnym niebie od łun pożarów nad Warszawą. Widać je było z wyższych pięter pruszkowskich domów bardzo wyraźnie. Dniem natomiast horyzont od strony stolicy zasnuwały czarne dymy, podobne wypisz-wymaluj do żałobnego welonu.

Na terenie warsztatów kolejowych, z których Niemcy już w czerwcu zaczęli wywozić wszystkie maszyny i urządzenia, powstał „obóz przejściowy” dla ewakuowanej ludności Warszawy, słynny „Dulag 121”. Wieczorem

6 sierpnia 1944 r. przywieziono tutaj jako pierwszą grupę mieszkańców stołecznej Woli. W ciągu następnych dni przybywać zaczęli na teren warsztatów wysiedleni mieszkańcy także innych dzielnic Warszawy. Zorganizowano natychmiast pomoc dla tych ludzi stłoczonych w urągających elementarnemu poczuciu człowieczeństwa warunkach. Patriotyczna, nierzadko bohaterska interwencja pracujących tu Polaków - mężczyzn i kobiet - którzy, mimo represji grożących ze strony niemieckich władz obozu, nieśli pomoc warszawiakom, jest znana i godna najwyższego uznania. Starano się dostarczać nieszczęsnym uchodźcom wszystkiego, gdyż wszystkiego tu brakowało. Jednocześnie podejmowano próby wyprowadzania z terenu obozu kogo się dało, zwłaszcza młodych mężczyzn, bowiem tych ostatnich Niemcy uważali za uczestników powstania i w pierwszym okresie sierpniowej tragedii rozstrzeliwali na terenie glinianek pruszkowskich.

Do osób, którym udało się wydostać z obozu, należała pani Halina Mroczek, znajoma kuzynki babci Dąbrowskiej. Opisany dom, jak wspominałam, stoi na skrzyżowaniu ulicy Pięknej i 3 Maja. Tą ostatnią prowadzi droga do szpitala w Tworkach, znanego zakładu leczenia chorób psychicznych, ale podczas powstania do szpitala tego, podobnie zresztą jak do wszystkich pruszkowskich szpitali, kierowani byli ranni i chorzy warszawiacy. Pojawienie się wozów z rannymi budziło ciekawość, głównie z uwagi na możliwość rozpoznania kogoś znajomego. W dniu pierwszym października pani Halina wraz z babcią Dąbrowską wyszły przed ogrodzenie ogrodu, zobaczyły bowiem kawalkadę wozów jadących w kierunku szpitala. Na widok jednego z pasażerów przejeżdżającego wehikułu pani Halina wydała okrzyk:

- Edward! Panie Edwardzie! -

Ranny rozpromienił się wyraźnie, widząc znajomą twarz.

- Pani Halina! Skąd pani tutaj?

Finał tego spotkania był łatwy do przewidzenia, Babcia Dąbrowska w lot pojawiając sytuację, zdecydowała:

- Niech pan schodzi, szybko! Pójdzie pan do nas!

Ranny dostał skrzydel i wygramolił się ochoczo z wozu rozumiejąc, że oto los uśmiechnął się do niego od ucha do ucha. Wiadomym było bowiem, że w przepełnionych do granic absurdu szpitalach warunki panowały nader nędzne, a przede wszystkim nigdy nie można było mieć pewności, czy Niemcy nie zechcą przeprowadzić tam obławy na młodych mężczyzn, jak to było w ich stylu. Tym sposobem stan mieszkańców opisanego domostwa zwiększył się o jednego powstańca.

Nowoprzybyłym okazał się Edward Świdorski, pseudonim „Pingwin” (to przez przekorę i dla niepoznaki, gdyż facet mierzy sobie ponad metr dziewięćdziesiąt). Okazało się, że walczył on wraz z grupą innych pracow-

ników PKP pod dowództwem porucznika Sowy. Pierwszą ranę, w nogę, otrzymał na Sadybie, co jednak pozwalało mu walczyć nadal. Na skutek bombardowania porucznik Sowa poległ i Pingwin przeszedł pod komendę rotmistrza Gardy, walczącego na Czerniakowie. Tutaj dosięgnął Pingwina następny pocisk, umiejscawiając się tym razem w miejscu niepolitycznym, bo w pośladku (ani samemu spojrzeć, ani drugiemu pokazać!). Nowoprzybyły okazał się chłopakiem o ujmującym sposobie bycia, z poczuciem humoru, pogodnie znoszącym swój niepewny los. Miał też powód do niepokoju o los najbliższych, gdyż w Warszawie została jego matka i brat, o których nie miał na razie wiadomości. Edward bardzo szybko zintegrował się z rodziną i naszą paczką. Zgodnie ze swoim zwyczajem „ochrzciłam” go imieniem „Alojzy”, co do niego przylgnęło. Rewanżując mi się za to, usiłował nadać mi imię „Petronela” (zdrobniale „Petuchna”), ale to się nie przyjęło i wynik tej swoistej próby sił na sugestynowość wynosi 1 : 0 dla mnie.

Skończyło się tragiczne Powstanie Warszawskie. Przeminięła jak zły sen okupacja niemiecka. Nadszedł kres stalinowskiego koszmaru. Na początku lat siedemdziesiątych, kiedy już zaprzestano tępienia akowców i można było mieć nadzieję, że ówczesne władze nie będą więcej prześladować ludzi związanych z Polską walczącą, pani Maria Dumkiewicz otrzymała następujący dokument:

Warszawa, dnia 7.III.1972 r.

Zaświadczenie

„Niniejszym zaświadczamy, że znana nam osobiście ze wspólnej służby w szeregach Armii Krajowej Ob. Maria Dumkiewicz zamieszkała w m.Pruszków-Żbików ul.Piękna 2 w okresie od 1.I.1943 r. do stycznia 1945 r. pełniła w podokręgu Olsztyn Tuchola pod pseudonimem „Maria” funkcję łączniczki oraz kierowniczkę punktu kontaktowego. Poza tym w mieszkaniu jej odbywały się zebrania i prace komendanta i szefów wydziałów podokręgu. W niektórych okresach przechowywała na swojej posesji sprzęt, broń i amunicję. Prace swe na rzecz ruchu oporu wykonywała bardzo ofiarnie i w warunkach dużego stałego zagrożenia. Niniejsze zaświadczenie wydane celem przedstawienia władzom ZBoWiD.”

Dokument ten podpisały następujące osoby:

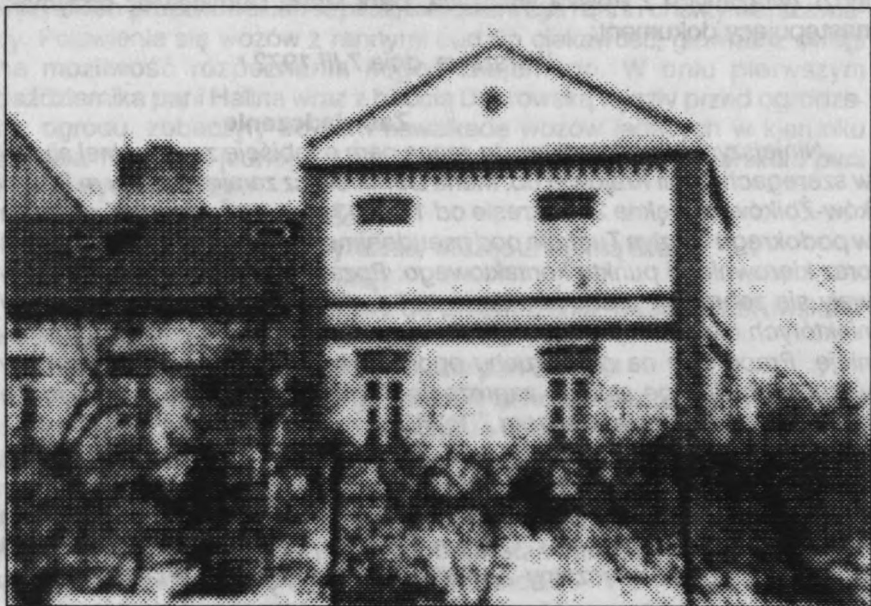
Dietrich Romuald major rezerwy, były szef Wydziału Organizacyjno Personalnego w podokręgu „Olsztyn-Tuchola” pod pseudonimem Michał Drzazga, członek zwyczajny ZBoWiD, Legitymacja nr 190240, nr ewid. T-41748;

Konopka Jan płk, były szef sztabu podokręgu „Olsztyn-Tuchola” pod pseudonimem Szymon-Rola, członek zwyczajny ZBoWiD, Legitymacja nr 2085/131.

Wiarygodność podpisów płk Jana Konopki oraz majora Romualda Dietrycha potwierdzono pod pieczętką następującej treści: Związek Bojowników o Wolność i Demokrację - Stowarzyszenie Wyższej Użyteczności - Zarząd Okręgu Warszawskiego - Warszawa Al.Ujazdowskie 6a.

Dziś, po pięćdziesięciu latach od opisanych tu wydarzeń dom pozostał na swym miejscu, nadal w rękach potomków państwa Dąbrowskich. Tyle, że część z jego mieszkańców i azylantów przeniosła się do niebieskiego azylu. Ci jednak, którym dane jest jeszcze cieszyć się życiem, pozostają w przyjaźni z mieszkańcami szacownego domu, to jest Ireną z Dumkiewiczów Szewczykową, jej mężem Jerzym, synem Pawłem, jego małżonką Katarzyną oraz dwoma wspańiałymi przedstawicielami najmłodszego pokolenia: Łukaszem i Bartoszem.

Historyczny w pewnym sensie stryszek już nie musi być kamuflowany, zaś obraz świętego Antoniego wisi teraz na honorowym miejscu w jednym z pokoi. I zacny święty i mieszkańcy domu mogą wreszcie odetchnąć z ulgą.



Dom przy ul. Pięknej 2